

„Dzień aktora“.

Tak nazwano wczorajsze przedstawienie w teatrze, jako „wieczór“, z którego dochód przeznaczono na filantropijno-kulturalne cele Związku Artystów scen polskich, a więc na słowarzyszenie, skupiające i zabezpieczające byt na starość jednemu, które często zdrowie, siły i życie złożyły w dani społeczeństwu. Nie zapomniano arcyżółtą i o akcji na rzecz Głównego Śląska, do której tak ochotnie zawsze czynną rękę przykładają artyści teatru w Toruniu, bo ze sprzedaży afiszów uzyskano na ten cel wcale pokazną sumę.

A teraz do recenzji! Przypadałoby, że nigdy może nie mam mniejszej ochoty do tak zw. „krytyki“, jak po tym wieczorze, na który złożyły się rzetelne wybitni artyści, by umilić go słuchaczom i pozostawić jak najuładniejsze wrażenie. I osiągnęli w zupełności cel, do którego dążyli! Dotyczy to zwłaszcza części koncertowej, która odznaczała się wykonaniem, pełnem talentu i opracowaniem; tryskał tu humor i bujność dowcipu, zwłaszcza w wyjątkach p. Petrzyckiego, a „krakowianki“ p. Orzeckiej, („Rach — ciach — ciach“) wraz z wyborną mimiką wywołały kaskadę śmiechu na widowni. Cóż mówić o piosenkach p. Jajdelgo wraz z jego bajeczną gitarą i wprost o „arcydziele“, jakie dał p. Rygier w swej „orucji weselnej“! Serdeczny śmiech słuchaczy i burze oklasków były podzięką, jak najbardziej zasłużoną. P. Szumański, deklamujący cudnie scherza Makuszyńskiego „Marliki“ — zdaje się tego wieczoru głos nie dopisał.

„Stworzenie świata pod cenzurą“ (deklamacja p. Michorowskiej) i „Walhall“ (p. Pelińskiego) budziły już nie tylko ogólną wesołość, ale i... refleksję. Za dziwny i zgola niewytłumaczony figlik ehoelika, który podczas tej części opłonił scenę i widownię uważać musimy „Walc nocy“ Cricza, odśpiewany z akompaniamentem fortepianu (nb. na wspomnienie fortepianów sceny toruńskiej wyrywa się mimowoli okrzyk: O Boże! Mój Boże!) przez p. Bolkę. „Walc nocy“ wprowadził w kłopot całą widownię, zdaje się trochę i p. Bolkę, a obecnie i mnie, gdyż nie wiem, jak złączyć nastrój „cały“ z tym jedynym dysonansem. Ale mniejsza z tem. Wszak wszędzie zdarzyć się mogą podobne „zgrzyty“, nieodzowne i na scenie i w życiu.

Dowodem tego, choćby życie Modrzewskich, bohaterów „Pięknej ogrodniczki“, fragmentu scenicznego w I akcie, napisanego przez Krzywoszewskiego, a odegranego wczoraj przez artystów. Ot! takie sobie głupstwo! Na podwieczorek czy kolację (dokładnie nie wiem) do młodego małżeństwa, państwa Modrzewskich, przybywa przyjaciel pana domu Henryk, który w trakcie rozmowy opowiada o sukcesach „sercowych“ z niedawnej przeszłości p. Modrzewskiego. Rozmowa toczy się wśród żartów, dowcipów i przekomarzań, aż Henryk opowiada o śmierci jednej z dawnych ofiar swego przyjaciela „pięknej ogrodniczki“ która umarła w miesiąc po ślubie Modrzewskiego. Wiadomość ta sprowadza na chwilę chmurę na czoło tegoż, ale to na krótko, gdyż znowu wszyscy powracają do żartów i kpín z męża zmarłej. Nagle pani domu wpada do głowy kapryś, by poprosić męża o pokazanie fotografii ogrodniczki. Ustupując jej prośbom wychodzi Modrzewski do swego pokoju, aby przynieść żądaną podobiznę, gdy wtem zjawia się sam ogrodnik, owdowiały Widelkiewicz, by żądać wydania listów zmarłej, które mogłyby uwłaczać jej pamięci. W kłótni powstałej między nim a Modrzewskim wypada temu ostatniemu fotografia, na widok której przestępuje się zdumiony mąż, że z uczucia jego żony i z jego bólu zmudzona para zrobiła sobie zabawę. Oburzyła go ta cała podłość i etyczny brud burzyła go ta cała podłość i etyczny brud tej pseudointeligencji, która bezczęści i kłótni największe nawet uczucia ludzkie oburzenia jego nie rozumie jednak ani p. Modrzewski, ani prawdopodobnie Henryk, obaj — do szpiku zdemonializowane „lwy miejskie“, ale zrozumie żona Modrzewskiego, która z jękiem płaczu rzuci się na krzesło po wyjściu Widelkiewicza i odepchnie rękę męża. Jeżeli ktoś ma wiarę w obudzenie się sumienia u tej typowej gaski wielkomiejskiej, to może śmiało zarzucić wierzyć, że wraz z opuszczającą się kurtyną gaśnie i szczęście w domu Modrzewskich...

Rolę Modrzewskiego oddał p. Peliński albo i bez podkreślenia zasadniczych cech tego „charakteru“, jak bezczelności i głupoty. Modrzewski p. Pelińskiego był tylko wystraszonem chłopackiem, a już wcale nie można było zrozumieć przyczyny skłóceń tego „złobawcy zero niewieści“.

Lepszą już sylwetkę „przyjaciela“ stworzył p. Soltan w roli Henryka, która zagrał poprawnie. Pan Hryniewicz w roli Widelkiewicza zdobył znowu sukces przez kreację postaci, ujmującej prostotą, bólem i szczerością. Te wszystkie rysy umiał p. Hryniewicz podkreślić swoją grą i wyrazistą mimiką. P. Szreniawa w roli Modrzewskiej miała kilka miłych momentów. Poza tem ładnie i dobrze... płakała.

Druga sztuka, Kiedrzyńskiego „Zaręczyny pod kulami“, przedstawia dworek wiejski z nieodzownym w naszych sztukach „wojennym“ expowstańcem Dziadkiem, równie nieodzowną ciocią i panną domu, której odziedziczony po przodkach animusz wojenny nakazuje ubrać się w mundur, pójść z wojskiem w bój i walczyć zwycięsko. Przypadałoby, że mało który z autorów okazał taką odwagę, jak Kiedrzyński, by zdradzać (zresztą z wdziękiem) cały brak znajomości „sztuki orężnej“ kobietę-żołnierza prowadzić w huraganowy ogień i wywieść stamtąd z... poranionym palcem. Ale Nemezis ściga!

P. Zosia wraca bowiem z bitwy ze zranionem sercem. I oto „pod kulami“ odbywają się jej zaręczyny z młodym porucznikiem, którego nie dotknęły kule i działa, ale dosięgnął grot Amora. Równocześnie zaręcza się i ordynans porucznika ze służącą, specjalnym okazem wiejskiego dworu, grzmiącego weselem z powodu zwycięstwa i szczęścia młodych par.

Jest jeszcze w tej sztuce czwarta, tym razem już istotnie zawsze „nieodzowna“ postać Zyda-pachciarza, który zdradza polskie wojsko, porozumiewa się z bolszewikami, by zostać panem dworu. Na okrzyk zwycięstwa wojsk polskich przerażony Jankiel wydaje okrzyk rozpacz i znika z ganku dworu, przepadając w nicość (prawdopodobnie tę, jaką zdenerwowanemu człowiekowi gotują zawsze schody takich dworów). Zechciejmy jednak nie paść sobie nastroju i optymistycznie uwierzyć, że może, choć to stało się „naprawdę“.

Sztuka grana było wprost pysznie, poczynawszy od samego dziadka (dyr. Frączkowski), panny, którą p. Sokolska zagrała energicznie i dobrze, sympatycznego porucznika (p. Syndlera) aż do znakomitej, drugiej pary zakochanych, ordynansa (p. Petrzycki) i dziewczki (p. Orzecka). Ta ostatnia zwłaszcza grała świetnie i tak „naturalnie“, że wzbudzała u słuchaczy śmiech i wesołość bezgraniczną. To samo można powiedzieć o p. Petrzyckim, doskonałym, zwłaszcza w scenie z żołnierzem-panną.

Zwycząjem „przewrotności“, cechującej nieznośne plemię krytyków, wracam na koniec do początku przedstawienia, a więc do „Prologu“ Makuszyńskiego, wygłoszonego z talentem przez p. Rychtera. Główni bowiem artyści, który krwawo i ciężko pracuje na swoje laury sceniczne, winien odpowiedzieć jeden z głosów „czyżby“ przeciętnie „Cizba“ ta rozumuje tak: Sztuka jest szczytem duchowego życia, lecz zdarza się czasem, że w podwoje jej wchodzi ludzkie, którzy z „kapłaństwem“ sztuki nie mają nic wspólnego. Gdy zaś żaden zawód, pracujący równie intensywnie dla społeczeństwa, nie żywi pretensji do tego, by wszystkie jego członkowie byli uznani za idealnych na jakiejś zasadzie oprócz można bardzo często wygórowane pretensje adeptów sztuki — ? Dalej — każde dzieło rozwija się tylko i utrwała przez rzetelną krytykę, która jest warunkiem postępu. — Jeżeli zatem pragniemy tak bardzo rozwoju polskiej sztuki, którą czcimy i kochamy, to przypuszczenie, że ona się ostać może bez krytyki, jest zarazem przyzwoleniem na skostnienie i spaczenie tego, czem właściwie jest sztuka, tj. wyrazu postępu i ewolucji ducha ludzkiego. Powie ktoś — ależ artyści to ludzie wyjątkowo subtelni i wrażliwi, a życie nie szczędzi im razów, których im powinna publiczność oszczędzić. No tak, ale mój Boże! Gdzież i w którym zawodzie brak nerwowych natur? Widzieliśmy i znamy przecie istoty, które mdleją na widok myszy, a to jeszcze nie uprzedza ich do żądania, by cały świat miał dla nich pobażanie i by znikły niechętne pomruki o „kubie zimnej wody“.

Tę „zimną wodą“ musi być nieraz krytyka, która zarazem widzieć chce i widzieć z a w s e będzie dobre strony wykonawcze, poparte sumienną pracą i p r a w d a i w em pokochaniem sztuki. Krytyka, o ile ma mieć rację bytu, nie może być sentymentalnem kwileniem, skalą lirycznych zachwytów w postaci rozmaitych „Och!“ i „Ach!“ naiwnych istot, gdyż taka uwłaczalność powadze i „pretensjom“ rzeczywistych artystów, którzy w niej widzą nie tylko rzetelne potwierdzenie obecnej, ale i zachętą do przyszłej, poważnej pracy nad polską sztuką!

Dr. Wł. Tatarzanka.